

PRIMO LEVI

Mnemagogia (1946)*

Doktor Morandi (ciągle nie mógł przywyknąć do tego „doktora” przed nazwiskiem) wysiadł z autobusu z silnym postanowieniem: przez co najmniej dwa dni nie da się nikomu rozpoznać. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że to się nie może udać. Co prawda właścicielka Kawiarni Alpejskiej przywitała go jeszcze dość neutralnie (najwyraźniej nie była nazbyt dociekliwa – albo nazbyt rozgarnięta), ale widząc uśmiech kioskarki, matczyiny, ale przy tym jakby kpiący, domyślił się, że już w nim domyślono się „nowego doktora”, a więc że na anonimowość nie ma co liczyć. „Mam tytuł wypisany na twarzy” – pomyślał Morandi. „»Tu es medicus in aeternum« i, co gorsza, wszyscy o tym, żeś »medyk po wsze czasy«, wiedzą”. Nie przepadał za sprawami wiecznymi, ta zaś wyglądała mu do tego na niezłą farsę – nie dość, że ponadczasową, to jeszcze niezbyt śmieszną. „Coś jak trauma narodzin”, wymamrotał, właściwie bez jakiegokolwiek z tym wszystkim związku.

...Zresztą, skoro o anonimowości i tak nie ma mowy, trzeba jak najszybciej spotkać się z Montesantem. Wrócił więc do kawiarni, wyjął z walizki list polecający i zapuścił się w głąb skwierczącego od upału miasta w poszukiwaniu domu swego gospodarza. Znalazł go z wielkim trudem i po długim kluczeniu; nie chciał nikogo pytać o drogę, ponieważ na twarzach tych kilku zaledwie mijanych przechodniów wyczytał nie do końca uprzejme zaciekawienie.

Spodziewał się, że tabliczka zdobiąca drzwi tego domu będzie stara, ale pokrywający ją grynszpan i niemal nieczytelne nazwisko przekroczyły jego nawet najśmielsze oczekiwania. Wszystkie okiennice były zamknięte, wyblakła farba na frontowej ścianie się łuszczyła. Wrażenie niesamowitości potęgował jeszcze gorączkowy, ale cichy szmer pierzchającej na jego widok chmary jaszczurek.

Montesanto wyszedł powitać go osobiście. Był to korpulentny staruszek, krótkowidz o mimo to żywych, osadzonych na zmęczonej twarzy oczach.

* Tłumaczenie za wydaniem: P. LEVI: *Opere*. [T.] 1. A cura di M. BELPOLITI. Torino, Einaudi, 1997, s. 401–408; (c) 1966, 1979, 1993, 2016 Giulio Einaudi editore s.p.a, Torino.

Poruszał się z ospałą, niedźwiedzią pewnością siebie. Nosił pomietą, wątpliwej czystości koszulę bez kołnierzyka.

Na korytarzu i w pracowni panował chłód i było prawie ciemno. Montesanto usiadł, a Morandiemu wskazał miejsce na wyjątkowo niewygodnym krześle. „Dwadzieścia dwa lata w tym miejscu”, pomyślał z nagłym dreszczem Morandi, podczas gdy jego gospodarz bez pośpiechu studiował list polecający. Młody doktor omiótł pomieszczenie wzrokiem, powoli przywykając do panującego tam półmroku.

Na biurku piętrzyły się niemal po sam sufit pożółkłe listy, czasopisma, notatki i inne papiery o nieodgadnionej już dziś treści. Z powały zwisała długa, poruszająca się miękko w rytm południowego powietrza pajęczyna, którą widać było wyraźnie dzięki osiadłemu na niej kurzowi. Przeszklona szafeczka skrywała kilka przestarzałych instrumentów i fiolek, na których widać było jeszcze ślady zbyt długo przetrzymywanych w nich niegdyś płynów. Na ścianie wisiała dziwnie znajoma fotografia: „Absolwenci studiów medycznych 1911”. Ach tak: oto wśród widniejących na niej twarzy dostrzegł kwadratowe czoło i kanciasty podbródek swego ojca, Morandiego seniora. A zaraz obok niego (niełatwo go rozpoznać!) ten tu oto siedzący Ignazio Montesanto: szczupły, zgrabny i prze-rażająco młody, prezentujący heroiczną minę męczennika-myśliciela, tak często przywdziewaną przez ówczesnych studentów.

Skończywszy czytać, Montesanto odłożył list na stertę papierów, pośród których ten kolejny natychmiast znikł.

– A zatem – powiedział – rad jestem, iż przeznaczenie, iż fatum... – zdanie przeszło w nieokreślony pomruk, po którym nastąpiła długa cisza. Stary lekarz odchylił się i zapatrzył w sufit. Morandi czekał na jakiś koniec; cisza zaczynała być trudna do zniesienia, kiedy nagle Montesanto podjął przemowę.

Mówił długo, najpierw z przerwami, potem z coraz większym wigorem. Jego twarz nabierała życia, poszarzałe oczy nabierały blasku. Morandi ze zdziwieniem odnotowywał rosnącą sympatię do tego staruszka. Widać było, że Montesanto przemawiać umie i lubi, a na tym odludziu nieczęsto miał przecież ku temu sposobność. Ożywał w nim zapał, budziła się dawno już zapomniana idea.

Montesanto opowiadał więc: o swojej trudnej inicjacji zawodowej; o okopach Wielkiej Wojny; o karierze uniwersyteckiej rozpoczętej z entuzjazmem, kontynuowanej z apatią i porzuconej z obojętnością ze strony kolegów – obojętnością, która ostatecznie zgasiła w nim wszelki entuzjazm; o podjęciu drugorzędnej praktyki badawczej w poszukiwaniu czegoś zbyt niedookreślonego, by to kiedykolwiek znaleźć; i wreszcie o swoim życiu dziś, życiu samotnika, obcego wśród ludzi czasem złych, czasem dobrych, ale dla niego przede wszystkim – dalekich; a także o wyższości przeszłości nad teraźniejszością i o ostatecznej utracie wszelkich namiętności – poza oddaniem wierze w godność myśli i nadrzędność ducha nad materią.

„Dziwny staruszek”, pomyślał Morandi; zauważył, że od godziny już mówi, nie patrząc mu w twarz. Początkowo próbował na różne sposoby skierować jego przemowę na konkrety, takie jak: stan ambulatorium, niezbędne uzupełnienia wyposażenia i wreszcie warunki jego własnego tu bytowania, ale z powodu onieśmienia i wrodzonej delikatności nie były to próby udane.

Montesanto zamilkł z oczyma utkwionymi w suficie, czy może raczej – w wieczności. Najwyraźniej w jego głowie wciąż trwał monolog. Morandi poczuł się zagubiony: czy powinien jakoś odpowiedzieć, a jeśli tak, to co; i czy w ogóle stary lekarz wiedział, że on wciąż tu jest.

Wiedział. Nagle przestał się bowiem bujać na krześle i przedziwnie donośnym głosem powiedział:

– Jest pan młody, panie Morandi, bardzo młody. Wiem, że jest pan dobrym lekarzem, czy może raczej, że nim pan wkrótce będzie. I sądzę też, że jest pan dobrym człowiekiem. Jeśli jednak nie jest pan człowiekiem dobrym wystarczająco, żeby pojąć to, co dotąd powiedziałem, i to, co powiem zaraz, mam chociaż nadzieję, że ma pan w sobie przynajmniej tyle dobroci, żeby mnie nie wyśmiać. A nawet jeśli będzie pan się śmiać – nic to; więcej się już przecież potem nie spotkamy. Zresztą taka już kolej rzeczy, że młodzi śmieją się ze starych. Chcę tylko, żeby wiedział pan, że będzie pierwszym, któremu to powiem. Nie chcę panu prawić komplementów, że akurat pan jest tym jedynym, który wydał mi się wart mojego zaufania. Będę szczery: jest pan pierwszym człowiekiem, który tu się zjawił od wielu lat, i prawdopodobnie ostatnim.

Morandi odpowiedział na to po prostu: – Proszę mówić.

– Zauważył pan, że niektóre zapachy wywołują określone wspomnienia?

To zdanie go zaskoczyło; przełknął z trudem ślinę i odpowiedział, że owszem, zauważył i że nawet miał na ten temat pewną teorię. Montesanto nie zamierzał najwyraźniej tłumaczyć się z tej dziwnej zmiany tematu. Morandi przyjął, że stary lekarz ma widocznie na punkcie tego zagadnienia lekkiego bzika, co właściwie wśród medyków, którzy osiągnęli pewien wiek, nie było wcale takie wyjątkowe. Taki Andriani na przykład, ukończywszy w chwale i bogactwie sześćdziesiąt pięć lat, zdążył jeszcze przed śmiercią skompromitować się swoją teorią pól neuronowych.

Montesanto oparł się obiema rękoma o krawędź biurka i, marszcząc brew, wbił wzrok w przestrzeń. Potem nagle podjął przerwany wątek:

– Coś panu pokażę; coś niezwykłego. W czasach mojej asystentury farmakologicznej miałem okazję badać adrenolityki wdechowe. Nic mi z tego szczególnie wartościowego dla ludzkości nie przyszło, może poza jedną, raczej pośrednio z tym związaną rzeczą. Otóż w wyniku tych doświadczeń poświęciłem sporo czasu kwestii doznań olfacyjnych i ich związków ze strukturą molekularną. To, moim zdaniem, obiecujące pole badań, do tego dostępne nawet tym spośród nas, którzy nie dysponują zbyt wielkimi środkami. Ostatnio zauważyłem – z zadowoleniem – że ktoś się tą sprawą zajął, i nawet wiem, że cała ta wasza nowoczesna

technologia może w tym być pomocna, ale mnie interesuje pewien inny aspekt tej sprawy. Mam bowiem coś, czego, jak sądzę, nie ma nikt inny.

Są ludzie, którzy nie dbają o przeszłość, którzy pozwalają, by umarli grzebali swych umarłych. Inni zaś – obrońcy czasów minionych – zamartwiają się własną przemijalnością. Niektórzy z nich nawet prowadzą dziennik, spisują swoje życie dzień po dniu, tak, aby żaden jego moment nie odszedł w zapomnienie, albo kolekcjonują materialne dowody na swoje istnienie: dedykację w książce, suszony kwiat, pukiel włosów, fotografie, stare listy. Także we mnie myśl, że choć jedno z moich wspomnień miałoby zniknąć, budzi przerażenie. I ja więc robiłem wszystkie te rzeczy, ale potem odkryłem sposób nowy, lepszy.

Nie, nie było to żadne odkrycie naukowe. Ja tylko zastosowałem pewien element mojego doświadczenia farmakologicznego i na tej podstawie zrekonstruowałem, dokładnie i w sposób nadający się do przechowania, kilka wzruszeń, które coś dla mnie znaczą. Nazywam je – powtarzam: proszę nie myśleć, że mówię o tych rzeczach często i że mam przez to gotowe dla nich nazwy – mnemagogiami, „pobudzaczami pamięci”. Zechce pan pójść za mną.

Wstał i przeszedł wzdłuż korytarza. W połowie drogi zatrzymał się, odwrócił i dodał:

– Jak sam pan może się domyśli, moich okazów należy używać ostrożnie, inaczej ich moc może osłabnąć. No i nie muszę raczej panu tłumaczyć, że są to rzeczy bardzo osobiste. Bardzo. Właściwie to można by powiedzieć, że są mną, bo w jakiejś mierze ja sam się z nich przecież składam.

Otworzył szafę, w której znajdowało się około pięćdziesięciu zakorkowanych fiolek, każda opatrzona osobnym numerem.

– Proszę wybrać sobie którąś.

Morandi spojrział na niego zdziwiony. Z wahaniem wyciągnął rękę po jedną z buteleczek.

– Proszę otworzyć i powąchać. Co pan czuje?

Morandi kilka razy wciągnął głęboko powietrze, najpierw ze wzrokiem utkwionym w Montesanta, potem patrząc w górę jak ktoś, kto stara się sobie coś przypomnieć.

– Jakby zapach koszar...

Teraz Montesanto wciągnął w nozdrza woń z kolby.

– Niezupełnie – powiedział – albo może raczej: według mnie niezupełnie. To zapach właściwy korytarzom szkolnym; a konkretnie: korytarzowi mojej szkoły podstawowej. Skład substancji w kolbie to nic nadzwyczajnego: lotne kwasy tłuszczowe i ketony nienasycone. Dla pana to niewiele zapewne znaczy, dla mnie zaś bardzo dużo: to moje dzieciństwo. Mam tu gdzieś nawet zdjęcie grupowe naszej klasy, wszystkich trzydziestu siedmiu kolegów ze szkolnych ław, ale ten zapach o wiele lepiej przywołuje wspomnienie niekończących się godzin nudy, ślęczenia nad zasadami sylabizowania słów albo ten szczególnie stan ducha dziecka (mnie, mnie jako dziecka!) oczekującego w przerażeniu na pierwsze

dyktando. Gdy wdycham tę woń (oczywiście nie teraz, to wymaga odrobiny skupienia), czuję mrowienie w żołądku, jak wtedy, kiedy miałem siedem lat i nauczyciel wywoływał mnie do odpowiedzi. Chce pan powąchać coś jeszcze?

– Hmm, to jest... Niech pan poczeka... W domu mojego dziadka, na wsi, było takie pomieszczenie, gdzie składowali owoce, które tam potem dojrzewały...

– Świetnie – powiedział Montesanto z wyraźną satysfakcją. – Tak to się właśnie opisuje w fachowej literaturze. Cieszę się, że wybrał pan właśnie tę fioletkę. To oddech diabetyka w fazie acetonemii. Sam by pan do tego doszedł, gdyby miał pan trochę więcej doświadczenia. Ten zapach jest klinicznym symptomem zapowiadającym śpiączkę. Mój ojciec zmarł na cukrzycę piętnaście lat temu. To nie było ani łatwe, ani krótkie umieranie. Wiele dla mnie znaczył. Długo przy nim czuwałem, patrząc bezradnie, jak powoli zatracał się w tym umieraniu. I nie pozostało to bez wpływu na mnie. Wiele mojej wiary umarło wraz z nim, duża część mojego świata stała się jałowa. Dla mnie ten zapach to zatem nie jabłka albo cukrzyca, ale trudny, katarktyczny proces przeżywania religijnego kryzysu.

– To przecież... kwas fenolowy! – wykrzyknął Morandi, otworzywszy trzecią fioletkę.

– Zgadza się. Myślałem, że i dla pana ten zapach będzie coś znaczył, ale pan przecież dopiero rok temu skończył praktyki szpitalne, wspomnienie nie zdążyło się jeszcze w panu ucukrować. Bo zauważył pan pewnie, że mechanizm, o którym tu mowa, polega na tym, że bodźce tego rodzaju, powtarzane regularnie w odpowiednim otoczeniu albo w połączeniu z odpowiednim stanem ducha, przestają wywierać jakikolwiek wpływ. To zresztą powszechnie znana zasada: wspomnienia, które mogą wzruszać, muszą mieć zmurszały posmak. I ja pracowałem w szpitalu, i ja miewałem płuca pełne fenolu. Tylko że to było ćwierć wieku temu, dziś już coraz rzadziej używa się tej substancji jako środka antyseptycznego. Ale za moich czasów owszem i dlatego do dziś jego zapach (mam na myśli ten zapach z kolby, nie kwas fenolowy w czystej postaci; dodałem do niego kilka innych substancji, żeby przypominał mi ten mój własny zapach fenolu) zawsze przywołuje w mojej pamięci skomplikowany obraz, na który składają się: pewna popularna piosenka z tamtych czasów, mój młodzieńczy zapał do filozofii Pascala, wiosenne osłabienie nerek i kolan oraz pewna koleżanka ze stażu, która, jak się dowiedziałem, od niedawna jest już babcią.

Teraz on wybrał jedną z fiolek i podał ją Morandiemu.

– Z tego preparatu jestem, przynajmniej, całkiem dumny. Nigdy nie opublikowałem wyników, ale i tak uważam to za prawdziwy naukowy sukces. Chciałbym poznać pana opinię.

Morandi powąchał z wielką ostrożnością. Z pewnością nie był to dlań zapach nowy. Czuć było spaleniznę, suchość, gorąc...

– Zapach krzemienia pocieranego o krzemień...?

– To też. Ma pan nosa! To zapach, który poczuć można w górach, gdy słońce rozpala skały, szczególnie kiedy kamienie oddają całe ciepło. Proszę mi wierzyć,

nie było łatwo wytworzyć i ustabilizować substancje dające ten zapach, nie naruszając przy tym ich właściwości. Kiedyś często chodziłem w góry, prawie zawsze sam. Kiedy dochodziłem na szczyt, kładłem się, słońce na mnie świeciło, powietrze było nieruchome i ciche, a ja czułem w związku z tym wszystkim jakieś dziwne spełnienie. Wtedy właśnie, jeśli się tylko trochę skupiłem, czułem w powietrzu coś, co rzadko można poczuć gdzie indziej. Dla mnie jest to zapach, który mógłbym nazwać wonią osiągniętego spokoju.

Po pierwszych chwilach zakłopotania Morandi zaczął odczuwać zainteresowanie. Odkorkował piętą, przypadkowo wybraną buteleczkę i podał ją Montesantemu: – A ta?

Pachniała z lekka czystą skórą, pudrem i latem. Montesanto powąchał, odłożył fiolkę i powiedział tylko:

– To akurat nie jest wspomnienie ani miejsca, ani czasu. To wspomnienie osoby.

Zamknął szafę. Ton, którym wypowiedział to zdanie, był kategoryczny. Morandi miał zamiar powiedzieć coś, co wyraziłoby jego zainteresowanie albo podziw dla tej pracy, ale nie był w stanie pokonać jakiejś dziwnej wewnętrznej bariery i ostatecznie nie powiedział nic. Pożegnał się tylko pośpiesznie, obiecując niejasno ponowną wizytę i niemal wybiegł na świeże powietrze. Czuł, że mocno się czerwieni.

* * *

Pięć minut później był już pomiędzy sosnami i maszerował szybko przed siebie, depcząc zawzięcie miękką wyściółkę leśną i unikając ścieżek oraz utartych dróg. Czuł radość, którą napawały go sprężystość własnych mięśni oraz płuca i serce pracujące mocno same, bez jakiegokolwiek świadomej kontroli czy ingerencji. Ach, jak cudownie mieć dwadzieścia cztery lata!

Przyspieszył kroku do granic możliwości, aż do momentu, gdy krew zaczęła pulsować mu w uszach. Wtedy położył się na trawie, zamknął oczy i kontemlował słoneczne plamy grające mu pod powiekami. Dopiero wtedy poczuł, że zmył z siebie wszystko.

A więc to był ten Montesanto... Nie, nie trzeba rejterować, on przecież nie stanie się taki sam, nie pozwoli sobie na to. I nie trzeba z nikim o tym rozmawiać. Nawet z Lucią, nawet z Giovannim. Nie wypada.

Chociaż właściwie... Tylko z Giovannim... I tylko w sensie teoretycznym... A czy poza tym jest w ogóle coś, o czym nie można by porozmawiać z Giovannim? Tak, napisze do Giovanniego. Jutro. Albo nie (spojrzał na zegarek), od razu. W ten sposób list pójdzie już wieczorną pocztą. Od razu.

Primo Levi (1919–1987), więzień obozu Auschwitz-Birkenau od lutego 1944 roku do wyzwolenia w styczniu 1945 roku, autor *Czy to jest człowiek* (1947), jednej z kanonicznych narracji o Zagładzie, oraz wielu innych powieści, opowiadań i wierszy zarówno dotyczących Holokaustu, jak i doświadczeń niepowiązanych z nim bezpośrednio, wyraźnie jednak doń nawiązujących. Do tych ostatnich należą przede wszystkim opowiadania fantastyczne („fantabiologiczne”, jak nazywał je Italo Calvino). Jednym z nich jest przedstawiany tu po raz pierwszy w przekładzie na język polski utwór *I mnemagoghi*, który opublikował pod pseudonimem Damiano Malabaia w 1966 roku w zbiorze *Storie naturali* (wybór tekstów z tej książki – z pominięciem tłumaczonego tu opowiadania – oraz z tomu *Vizio di forma* zatytułowany *Najlepsza jest woda* został wydany w przekładzie Halszki Wiśniowskiej w roku 1987; Levi zamieścił opowiadanie pod własnym nazwiskiem w roku 1948 w piśmie „L’Italia Socialista”). Data powstania tekstu nie jest ustalona; większość badaczy wskazuje na okolice roku 1946 (np. F. Vincenti: *Invito alla lettura di Primo Levi*) i sugeruje bezpośredni, zarówno chronologiczny, jak i tematyczny, związek z *Czy to jest człowiek* (np. G. Grassano: *La „musa stupefatta”. Noti sui racconti fantascientifici*), niektórzy jednak datują go na okres poprzedzający zesłanie do Auschwitz co najmniej o trzy lata (E. Ferrero: *Primo Levi*). Ta kontrowersja, wespół z niektórymi wypowiedziami Leviego na temat afektywnego i somatycznego wymiaru pamięci Auschwitz (zapach dymu z kominów na powojennym Śląsku opisywał jako smród krematorium; w zbiorze opowiadań-esejów *L'altrui mestiere* zamieścił kodyfikujący te relacje tekst *Język zapachów*) oraz w połączeniu z jego wykształceniem i zawodem chemika (jako domniemanym źródłem jego „nie-emocjonalnego”, „obiektywnego” stylu opowiadania o Holokauście), sprawia, że to nieznanne dotąd polskojęzycznemu czytelnikowi opowiadanie stanowi istotny element dyskusji o miejscu cielesności i afektów zarówno w twórczości tego „pisarza-naukowca”, jak i w szerzej rozumianym nurcie narracji o Zagładzie.

Paweł Wolski